

A było tak przyjemnie, czyli dziura w całym

W raporcie NIK, po skontrolowaniu grupy losowo wybranych fundacji napisano: „niektóre fundacje stanowią synekurę dla grup ludzi powiązanych z ośrodkami władzy”.

Wszystko wskazuje na to, że takie warunki spełnia Fundacja Rozwoju Kultury pani Izabelli Cywińskiej. Nazwisko jest tu konieczne, albowiem można powiedzieć, że to fundacja autorska. Pani Cywińska powtarzała to wielokrotnie w wywiadach, określała się chętnie jako jej „matka chrzestna”, a nawet jako „matka i ojciec zarazem”.

Słusznie zatem zapewniła w niej sobie stanowisko wiceprezesa, pozostałe etaty obsadzając na zasadzie układów przyjacielsko-koleżeńskich: dyrektorem ds. promocji został pan Stefan Starczewski, w zarządzie zasiadł pan Andrzej Rottermund — obaj panowie pracowali ze sobą jako wiceministrowie, w czasie, gdy pani Cywińska kierowała resortem kultury. „Przecież ich doświadczenie trzeba wykorzystać. My w Polsce jesteśmy bardzo rozrzućni we wszystkich dziedzinach, w tym również jeśli chodzi o doświadczenie ludzkie”. — zwierzyła się niedawno „Gazecie Wyborczej”.

Biznesmeni, jakich zaprosiła pani Cywińska do Fundacji również pochodzili z kręgu bliskich znajomych. „Interesy we własnym kręgu, to interesy nieco bezpieczniejsze od tych, które prowadzi się z ludźmi obcymi. Gdybym miała własny kapitał i chciała go zainwestować, to powierzyłabym go osobie, którą znam i darzę zaufaniem niż komuś, kogo pierwszy raz widzę na oczach” — powiedziała również „Gazecie”.

Tak się jednak pechowo składało, że po pierwsze „biznesmeni z własnego kręgu” potrafiliby zarabiać i prowadzić interesy własne, jak się okazało, a nie Fundacji, a po drugie — i chyba najważniejsze — nie były to pieniądze pani Cywińskiej.

I tu się należy cofnąć w czasie.

W 1981 roku powstał Fundusz Rozwoju Kultury. Wymyślił go działacz „Solidarności”, w życie wprowadził ówczesny minister, Józef Tejcma. Odprowadzano na niego 14 proc. odpisu od podatków i plac w gospodarce uspołecznionej — Fundusz rósł zatem wraz z placami. Różne były do niego pretensje — w latach późniejszych dość często zdarzało się, że dysponowano nim niezgodnie z założeniem, przeznaczając np. wielkie kwoty na sztuczne imprezy-giganty krajów RWPG, finansowane z niego telewizyjny — wówczas — festiwal sopocki, czy wręcz kupowano meble wojewodom i I sekretarzom. Ale co by nie powiedzieć, dzięki Funduszowi istniały ośrodki kultury, biblioteki, utrzymywano z niego teatry, muzea, kinematografie.

Gdy ministrem została pani Izabella Cywińska wywalczyła dodatkowo 0,5 proc. odpisu od plac, co uznano — i słusznie — za zwycięstwo środowiska kultury. Kilka miesięcy później jed-

nak, na początku roku 1990, wszedł w życie plan Balcerowicza i wszystkie fundusze celowe zostały zlikwidowane.

Zrodził się więc problem w jaki sposób zdobywać pieniądze na kulturę?

W MKiS ścierały się wówczas dwie koncepcje — jedna, to założenie Banku Kultury, druga — powstanie Fundacji. Pani Cywińska była zdecydowaną zwolenniczką tej drugiej. Gdy zapytałam ją dlaczego — odpowiedziała, że... na pieniądze z banku trzeba by było długo czekać. Jeśli zważymy, że na pierwsze pieniądze z Fundacji czekano prawie dwa lata, to jest to odpowiedź mało przekonująca.

Fundacja od początku miała złą prasę, a jeszcze gorszą opinię środowiska. Przyczyną pierwszą, choć nie jedyną, było przeznaczenie państwowych pieniędzy na jej założenie. Na konto Fundacji Kultury wpłynęło bowiem 498 mln z Funduszu Rozwoju Kultury, będących w gestii ministra kultury. W 1990 roku to było bardzo dużo, ale pamiętać trzeba, że od tego, właśnie czasu zaczął się upadek bibliotek i ośrodków kultury. Gdyby środki tego wzięto, że na to samo konto z likwidowanego Centralnego Funduszu Rozwoju Kultury, będącego w dyspozycji ministra finansów, przeznaczono dodatkowo 116,2 miliarda zł, protesty byłyby zapewne jeszcze gwałtowniejsze. Ale o tym dowiedziano się dopiero z raportu NIK.

Fundacja była otoczona w ogóle tajemnicą. Nie ujawniano np. (a i na ostatniej przez p. Cywińska zwołanej konferencji prasowej ujawnić nie chciano) nazwisk „fundatorów”. Może i nic dziwnego, jeśli się zważy, że 13 pochodzących z kręgu bliskich znajomych biznesmenów” wnieść miało... 103 miliony zł, a wniosło w rezultacie (po wycofaniu się podobno 6 z nich — nazwiska tajne łamane przez poufne) — po kilkunastu nb. dopiero miesiącach oczekiwania — 51 milionów, co stanowiło 0,04 proc. kapitału Fundacji... Za te śmieszne pieniądze robili interesy na sumę 2000 razy wyższą.

A wyglądały one według raportu NIK tak: Fundacja dawała np. firmie Rolmex 12 miliardów na biznes alkoholowy z dawnym ZSRR. Rolmex wniósł 2 mld, ale zyski miano dzielić odwrotnie do wkładu — 65 proc. dla Rolmexu, 35 dla Fundacji. W efekcie transakcja nie doszła do skutku, a pani Cywińska twierdzi, że partner „zachował się wyjątkowo lo-

jalnie i uczciwie”, bo... zwrócił Fundacji pobrane pieniądze. Z dokumentów wynika, że dysponował nimi przez kilka miesięcy. Ile by zapłacił, gdyby wziął taką pożyczkę z banku? Prezesem Rolmexu jest jeden z założycieli Fundacji, członek Rady i Zarządu.

Podobnych nieprawidłowości dopatrzył się NIK także w umowach zawartych z Medical SA (jej prezesem był Andrzej Miśliński), Kolmerem oraz Bo-Ovini... Fundacja przed podpisaniem umowy nie sprawdzała ani stanu konta spółek, ani wiarygodności weksli — na wielomiliardowe czasami sumy. Po prostu wierzyła na słowo. Czy doprawdy z taką samą szlachetną niedbałością odnoszono by się do interesów, gdyby robiono je za własne pieniądze?

Pani Izabella Cywińska, jak sama mówi, zaprosiła biznesmenów nie po to, by „wyciągać od nich ogromne kwoty”. „Znaleźli się w Fundacji, by służyć swoją fachową wiedzą”. Byli to jej zdaniem ponadto ludzie, którzy „sprawy kultury żywo obchodzą”... Z nie zdementowanych przecieków wiadomo, że „zaprzyjawnionymi biznesmenami” byli m.in. Stanisław Wilczek i Aleksander Gawronik. Pierwszy z nich jest w środowisku szeroko znany z organizowania bardzo udanych bankietów, drugi — ostatnio — z żywego zainteresowania cennymi obrazami.

Z raportu NIK wynika, że właśnie pan Gawronik oraz pan Janusz Petrykowski z Rady Fundacji (na konferencji prasowej oficjalnie tę Radę reprezentował) proponował wchodzenie w te ciekawe interesy. Wynika z niego także, że gdyby dość liczny, zatrudniony w Fundacji personel, razem z doradcami, Zarządem i konsultantami, nie robił żadnych interesów, tylko włożył te 116,7 miliarda do banku, zysk byłby prawie czterokrotnie wyższy.

Na pierwsze dotacje z Fundacji czekano prawie dwa lata. W maju, w czasie kontroli NIK nb., wypłacono z Fundacji pierwsze 5,5 mld zł, co stanowiło 4,7 proc. podstawy sumy, jaką otrzymała. Na konferencji prasowej 15 października lista dotacji wręczona dziennikarzom opiewała już na sumę 24,8 mld zł. Stanowi to 21 proc. funduszu wyjściowego, a zatem bez odsetek, bez „zarobionych na transakcjach” pieniędzy. Nie rozliczono do tej pory 71,9 mld „zaangażowanych w przedsięwzięcia”; na kontaktach ban-

kowych i w obligacjach jest 34,9 mld.

Gdyby zrobić listę strat poniesionych w kulturze z powodu braku pieniędzy, byłaby to lista długa i smutna. Każdy dzień dopisuje kolejne pozycje.

Na dodatek Fundacja Kultury nie jest w istocie żadną fundacją. Poza prawie 117 miliardami państwowych pieniędzy, nie ma tu bowiem prawdziwych mecenasów-fundatorów. Chociaż pani Cywińska załatwiła, że Fundacja Kultury jako jedyna w Polsce ma szczególne uprawnienia polegające na tym, że pieniądze na nią wpłacane są w pełnym zakresie zwolnione z podatku, ludzie, którzy chętnie wpłaciliby na takich warunkach duże nawet sumy na kulturę, nie chcą dawać pieniędzy na Fundację. Ich opór wynika z tego, że: po pierwsze — chcą sami decydować na jaką działalność swoje pieniądze przeznaczą, a nie zamrażać je na bardzo długo i nie mieć wpływu na to komu się one dostaną, a po drugie — nie chcą, by na wpłaconych przez nich pieniądzech ktoś całkiem inny robił interesy.

Pani Izabella Cywińska, członkini Zarządu, Rady, dyrektorzy i konsultanci czują się urażeni i skrzywdzeni przez NIK oraz dziennikarzy, którzy jego raporty ujawniają. Trochę racji na pewno mają. Przecież chcieli dobrze, przecież było tak miło. A że nie wyszło? Pani Cywińska w wywiadzie udzielonym „Gazecie” słusznie przypomniała, że nie ona jest w końcu odpowiedzialna za niefortunne decyzje: „Przecież w Zarządzie Fundacji zasiada przedstawiciel Skarbu Państwa, który broni interesów budżetu konsultując każdą transakcję. Prezesem Fundacji jest urzędujący minister kultury”.

Pierwszym ministrem kultury, do którego zwracała się „Solidarność”, by zreformował zasady funkcjonowania Fundacji, oddzielił ją od MKiS, odbiurokratyzował i nie dopuścił do potencjalnych — a przewidywanych — nadużyć, był p. Marek Rostworowski. Ale z obietnicy się nie wywiązał. W środowisku mówił się, że być może nie wypadło mu, albowiem jako jeden z pierwszych dostał dotacje na album „Żydzi polscy”... Kolejni ministrowie, a zmieniali się przecież bardzo szybko, też głowy jakby do tego nie mieli.

★

Z... pewną nieśmiałością oczykuje się nowego ministra i jego decyzji. A może weźmie wszystko jest w porządku, tylko, jak to określiła p. Cywińska, „NIK lubi szukać dziury w całym”.

IZABELA SŁIWONIK